

## **Bankier Rumpelstilskin i uciekający melonik**

Wszystko stało się pewnego skwarne lata – no bo jakżeby mogło być inaczej. Wszak każdy głupi wie, że wakacje najlepiej nadają się do dziwnych opowieści o przygodach niepoprawnych osobników (niekoniecznie zresztą ludzi). Wszelkie inne pory albo to leją lodowatą wodą że aż dreszcz człowiekiem wstrząsa, albo białym puszkami sypią i w policzki onym szczypią, albo błościami takim straszą, iż cały wolny czas przepuszczamy leniwie przed migoczącym pudłem telewizora, otuleni w ciepły koc i chlepczący gorącą herbatę z miodem, a przyjemnie ciepła para kąsa nas w twarz i doprowadza do delikatnych rumieńców. Nie, musowo dziać się opowieść w lecie ma obowiązek, koniec i kropka.

Tak więc: w pewne wakacje, w pewnym mieście, o pewnej popołudniowej godzinie, pewien krępawy ludek w meloniku (po prawdzie zaliczającym się już prędzej do pół – meloników, dlatego zwać się będzie dalej kapeluszem) przechadzał się pewną opustoszałą ulicą, zaś terkoczące jak dzioby dzieciółów samochody przemykały co pewien czas niecały krok od niego. Gość nie przejmował się jednak, gdyż wiedział, że dopóki kroczy chodnikiem krzywda mu się nijaka nie przytrafi – a z bezpiecznego trotuaru wynosić się prędko nie zamierzał. Po czym wyraźnie widać, że ów typ należał do wymierającego gatunku osób przezornych, myślących daleko do przodu i planujących – oraz też nie dających życiu zbyt wielu szans, by zrobiło im jakąkolwiek krzywdę. Sądzę, że Czytelnik sam zauważył, że tacy właśnie najczęściej chodzą posiniaczeni i dziwnie rzadko umierają śmiercią naturalną. Pewnie dlatego tak ich mało. Wyjaśnienie jest tego proste – życie nie ustaje w zadziwianiu nas swą ironią, jak powszechnie każdy wie, kto zacz na dobrej literaturze zna się.

Pogoda była zwykła, wakacyjna – lekki wietrzyk, niesamowicie zresztą orzeźwiający i zniewalający, elektryzujące, chwilami denerwujące, wylewające z nas pot litrami gorąco, sypiące się z nieba, jak z mikołajowego worka, promyki złoto – cytrynowego słońca i piekielny zaduch, namiastka tego, co pewnie po śmierci spotka tych złych.

Wszelkie niezbędne opisy (na poziomie zresztą pierwotnym, lecz wszak nie książka to, by nadto się nad szczegółami rozwodzić) szczęściem w tym właśnie momencie kończą się, dalej zaś opowieść będzie już gawędą stricte konkret. I uff, bo ile można w upale o upale trajkotać, prawda?

Krępawy ludek stwierdził po dłuższej chwili – i zatrzymał się aby odetchnąć – iż żar piecze go niemiłosiernie i jeszcze mocniej. Rozpiął zatem marynarkę (ubrany był na galowo, lub jakby wracał z poważnego spotkania w interesach – tak więc również pantofle, cienkie skarpetki, garniturowe majtki i spodnie w kancik, wszystko w kolorze węglowej czerni – poza wiśniowymi majtkami i kapelusikiem, którego koloru zdefiniować nie potrafię), wciągnął powietrze ze świstem i podniósł wysoko rękę, starając się uchwycić melonik nie za rondo, a sam czubek. Sztuka ta udała mu się znakomicie i gość zaczął rozkoszować się urokami wystawiania na słońce łysiny otoczonej aureolą siwiutkich włosów. Po chwili przeszedł kawałek dalej i przystanął pod rozłożystym klonem, dającym tyle cienia, że zmieściłaby się pod nią klasa szkolna w pełnym składzie oraz niewielki czołg do kompletu. Oparł się o pień, pokryty brunatnymi wyrwami w strukturze naturalnie alabastrowej kory.

Wtedy też ze trwogą dostrzegł i aż westchnął z przerażenia, że jedna z czarnych sznurówek rozsuptała się i po prostu zwisa fantazyjnym frędzlem z języka pantofla.

- O zgrozo! – zawołał piskliwym głosikiem osobnik, zawiesił kapelusz na gałęzi, a

później schylił się.

I podczas gdy ludek na powrót mozolnie wiązał but, zadął potężny wiatr, zdmuchując z gałęzi wyczyszczony na fest kapelusz. Po czym zadął ponownie, z jeszcze większą gwałtownością, a melonik poszybował wraz z nim, coraz dalej i dalej, aż wreszcie zniknął za rogiem opustoszałej uliczki. Gość – jako że zawiązać sznurówki na nowo nie zdążył – rozsuł pantofle i w samych skarpetkach jął gonić uciekający kapelusz.

Gdy zdyszany dopadł skrzyżowania – również pustego, co pewnie wydałoby mu się już podejrzane, jeśli nie fakt, że gonił własne nakrycie głowy – spotkała go niemiła niespodzianka. Oto zgarbił się z wysiłku, podniósł niemrawo wzrok i nagle dostrzegł odzianego w krótkie spodenki koloru trawy i szmaragdową kamizelkę karzełka, z cierpkim uśmiechem bezczelnie gapiącego się nań i wymachującego czym? Kapeluszem, drogi Czytelniku, skradzionym bezprawnie kapeluszem!

- Oddaj mój kapelusz, karle, oddaj go natychmiast! – krzyknął oburzony ludek, podnosząc się z donośnym kichnięciem – miał alergię na pyłki, których latem unosi się w powietrzu całe zatręśnienie.

- Nie dostaniesz go, o n-n-n-n-ie! – zaskrzeczał złodziej i zaśmiał się kpiarsko. – Nie dostaniesz swojego kapelusza, o n-n-n-n-ie! Jest mój! M-m-m-m-ój! Hi, hi, hi!

- Przetrzepie ci skórę – zagroził.

- Nie złapiesz mnie, n-n-n-n-igdy! – Wrzasnął, zniknął i pojawił się kilka metrów dalej, aż zginając się i rechocząc na przemian. – Możesz go wykupić! Chc-c-c-c-esz?

- Chcę – odparł bez wahania ludek, zmęczony już nieprzyjemną rozmową. – Ile za niego chcesz? Sto rubli? Dwieście?

- Turliriuli nie chce kapusty, o n-n-n-n-ie! Za szczęśliwy kapelusz nie-pieniądze!

Ludek przełknął głośno ślinę. Karzeł odkrył jego największą tajemnicę – zwędzony kapelusz zapewniał mu przychyłność losu. Dlatego Rumpelstilskin (jak nazywał się starszy pan z melonikiem) tak wyśmienicie radził sobie w rozlicznych biznesach i podejmowanie największego nawet ryzyka skutkowało dlań zawsze zyskiem. Musiał więc odzyskać go i skłonny był zapłacić za to każdą cenę. Melonik już dawno stał się dla niego jak trzecia ręka, a przebiegły złodziej doskonale o tym wiedział.

- Co chcesz, karle, za mój kapelusz? – spytał wreszcie.

- Oddasz mi swoją marynarkę, hi, hi! Razem z koszulą, ha, ha! – odkrzyknął w odpowiedzi, tarzając się ze śmiechu po ziemi.

- Zgoda – Rumpel kiwnął niewzruszenie głową, po czym wyskoczył tak z granitowej marynarki, jak i koszuli. – A teraz oddawaj, co moje.

- Proszę, proszę – zachnął się karzeł, zrobił obrażoną minę – lecz po stanowczym wyrazie twarzy biznesmana wywnioskował, że żartów nie ma – i oddał melonik.

- No – uśmiechnął się Rumpel, wkładając nakrycie na łysinę. – Teraz znikaj – rozkazał i karzeł rzeczywiście zniknął.

I byłby to koniec tej historii, gdyby nie fakt, iż letni wiatr lubi płać różne figle. Bywa, że strąci doniczkę z balkonu damy w podeszłym wieku, bywa, że da nauczkę sikającemu, czasem tylko skubnie, a czasem zwinnie dmuchnie i dopiero co odzyskany melonik sfrunie z łepetyny, lądując na środku rozpalonej słońcem ulicy. Czasem tak właśnie bywa.

A czasem – jak przekonał się o tym bankier Rumpelstilskin – potrąci melonik jak hardy zawadiaka, popchnie ku górze, zawiruje tak, że najbardziej desperackie wysiłki właściciela nakrycia, mające na celu odzyskanie przedmiotu, spełzną na niczym, by zaraz rzucić nim w stronę niewielkiego jeziora, otoczonego gąszczem trzcin, pełnego rzęsy, kumkających żab i rozsianych po błękitnej tafli lilii wodnych, z kwiatami tak białymi jak dziewiczy śnieg, stykającego się od zachodu z sosnowym lasem, a od wschodu – z pół kamienistą plażą pełną spiczastych, wyslizganych przez fale głazów.

Jako że ludzie czynu – jakimi są dobrzy bankierzy, a podstarzały ludek bez marynarki do takowych należał – nigdy się nie poddają, tako Rumpel westchnął żałośnie, byłby zakasał rękawy – gdyby je miał – po czym ruszył ociężałym krokiem w stronę oddalonego o dobrą milę rozlewiska. Chętnie też poplułby sobie w brodę, lecz niestety nie miał ani czym pluć, ani w co.

Na miejsce dotarł w przeciągu niecałej godziny. Wystarczy wspomnieć, że dyszał jak lokomotywa, a Czytelnik będzie już wiedział co z nim było i jak. Nie zważając na odpryski skalne usiadł na piekącym piachu, rozłożył się, przymknął ciężkie powieki i usnął.

Z krótkiej, niespokojniej drzemki, pełnej nieuchwytnych koszmarów wyrwał go drwiący, wibrujący rechot.

- Szukasz czegoś? – odezwał się głos, a Rumpelstilskin otworzył oczy i odkrył, że przemawia do niego żaba. Nie zdziwił się jednak, gdyż nawet na zdziwienie potrzeba odrobiny wysiłku, na który nie było go już stać.

- Mhm – odparł beznamiętnie bankier. – Mojego szczęśliwego melonika. Widziałś go może, zielona żabko? – spytał głosem pozbawionym większych nadziei, czy emocji.

- Widziałam – zakumkała żaba.

- O – odezwał się po krótkiej chwili. – Dasz mi go?

- Dam. Wiem, że karzeł zdarł z ciebie koszulę i marynarkę. Nieładnie – cmoknęła. – Ja jestem uczciwa, gdyż jestem kobietą.

- Jesteś żabą – zauważył trzeźwo. – A żaby, jeśli już, to bywają księżętami. Rzadko zresztą.

- Co ty tam wiesz – prychnęła z pogardą. – Och, nieważne. Dawaj spodnie.

- I dostanę kapelusz? – upewnił się, szybko rozpinając rozporek.

- Dostaniesz kapelusz – zapewniła uczciwym rechem i zeskoczyła z liścia lilii na łąd.

- A więc proszę – powiedział i podał jej równo złożone spodnie.

Żaba zakumkała, rozwarła szeroko gębę i z dyszkantowym kasznięciem wypluła zeń szczęśliwy melonik – Rumpelstilskin od początku rozmowy zastanawiał się, dlaczego główka płaza nie ma zwyczajnego, owalnego kształtu, a coś w rodzaju garnka na dużym talerzu – i teraz znalazł wreszcie odpowiedź.

- Dzięki ci, żabo – skłonił się bankier, sięgnął po zaśliniony kapelusz i oddalił się rytmicznym krokiem.

A dzięki temu, że trwało upalne lato nie odczuwał specjalnego zimna z powodu roznegliżowania do samych majtek i skarpetek. Nie było też nigdzie nikogo, kto mógłby śmiać się z groteskowości widoku poważnego staruszka w samej bieliźnie, z pokrytym żabim śluzem melonikiem kurczowo trzymany przez ręce w udręczonych artretyzmem rękach.

I naraz nadleciał wiatr, porywając złośliwie kapelusz już po raz trzeci. Bankier podniósł się spokojnie, otrzepał zapaćkane kolana i obwisłe, pomarszczone policzki, spojrzał obojętnie na umykającą własność i nieśpiesznym krokiem począł iść w jej kierunku. Przy czym nie zamartwiał się, gdyż wykończyłoby go to do cna.

Jednak los uśmiechnął się doń – w pewnym momencie melonik zwyczajnie upadł i tak już pozostał aż nie nadszedł Rumpelstilskin, nie stanął nad nim i nie jął przyglądać mu się ze zdawkowym zainteresowaniem. I wtedy też stała się rzecz niezwykła. Przemówił wiatr, świszcząc wokół pochylonej sylwetki ludzkiego osobnika. A przemówił w te słowa:

- Głupku! – zadał. – Ostatni głupku!

- Tak, słucham uprzejmie – odpowiedział rzeczowo bankier, a jego spokój wynikał pewnie z tego, że było mu już wszystko jedno.

- Popatrz uważnie! – zaświszczał znowu wiatr, przybierając na sile i rozdmuchując potężnym powiewem konary cieszącego oko okazu postawnego dębu, rosnącego na samym środku polany. Pomiedzy gałęziami błysnęło coś purpurowego. Owo coś miało kształt deltoidu prawidłowego oraz dysponowało całkiem wdzięcznym, drewnianym szkieletem, układającym się na kształt krzyża. – Widzisz?

- Ano, widzę – przyznał staruszek i pokiwał głową na potwierdzenie swych słów.

- Musiałem ci ukraść melonik!- wył dalej wiatr. – Odebrać marynarkę! I koszulę! I spodnie! A wszystko tylko po to, byś raczył pojawić się tu – wskazał gestem na połacie trawy, przy okazji rozrzucając wokół żółknięte liście spoczywające pośród niej – i pobawić się ze mną latawcem! Och, czy wy zawsze jesteście tacy uparci i nierozgarnięci?

- Ach – westchnął ciężko staruszek. – Bywamy, prawda. I niech ci już będzie. Możemy się pobawić – odparł po chwili namysłu bankier Rumpelstilskin, odrywając wzrok od wyświechtanego już kapelusza i z rosnącym powoli zaciekawieniem przenosząc go na purpurowe coś skryte między bursztynowymi żółędziami. – Czemu nie. Możemy się pobawić – powtórzył z przekonaniem, rzucił obśliniony przez żabę melonik w wysoką trawę – gdzie ten zniknął i już więcej się nie pokazał – uśmiechnął się pod wąsem, po

czym (odziany tylko w slipki i grube skarpety) różnym krokiem ruszył ku dębowi, pogwizdując przy tym. A wiatr za nim, pohukując do skocznej melodii.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Jack Duck, dodano 28.09.2009 09:26

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).